## *W obliczu śmierci*

Było tak, że najpierw nie zwracał na nią żadnej uwagi. Nic. Cisza. Całkowita, zwykła obojętność. Była, istniała, ale równie dobrze mogłoby jej nie być, nie istnieć – to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Mijali się, przechodzili obok siebie i… Pustka. I chłód. Niczym Arktyka. Tyle tylko że, jak już wspomniałem, tak było na samym początku, a początki, jak chyba wszyscy dobrze wiedzą, niemal z reguły są niepozorne, banalne i identyczne pod każdą długością i szerokością geograficzną świata. W ich przypadku nie było inaczej. Regule więc stało się zadość. Regule, która zaczęła się tak oto.

Jest ranek. Szary, dżdżysty. Ona, jak zwykle niemal od dziesięciu lat, wstając, wykonuje te same czynności: najpierw włącza radio, idzie do łazienki, następnie ubiera się, wypija coś ciepłego przed wyjściem, potem wsiada do swojej czerwonej Toyoty Yaris, zaparkowanej pod blokiem, i po kilkunastu minutach jest w pracy, gdzie dzień rozpoczyna się już na dobre. Tym razem jednak w ten rytm monotonnych czynności wkrada się pewna niespodzianka. Ale po kolei.

Więc wyjeżdża teraz spomiędzy bloków i skręca w główną ulicę. Przejeżdża właśnie obok przystanku autobusowego, gdy nagle hamuje i zjeżdża w autobusową zatoczkę.

– Podrzucić pana? – pyta przez uchyloną szybkę.

Cisza. Mimo że na przystanku znajduje się kilkanaście osób, nikt nie odpowiada. Naciska klakson. Mężczyzna, stojący najbliżej krawężnika, pogrążony niemalże, zdawać by się mogło, w sposób ostateczny w

lekturze porannej prasy, przerażony wypuszcza gazetę z rąk. Zdezorientowany patrzy to na opadającą na chodnik gazetę, to na intruza za kierownicą, który bezczelnie wparował w jego poranny spokój.

– Przepraszam. Pytałam, czy gdzieś pana podrzucić.

Na jego twarzy przerażenie ustąpiło teraz miejsca zaskoczeniu. Myśli: *Czego ona ode mnie chce? Znam ją? Twarz taka jakby jakaś…*

– Więc podrzucić pana czy nie? – ponawia swoją propozycję coraz bardziej zniecierpliwiona. – Nie mogę tutaj za długo stać.

Nie wie, jak to się dzieje, ale, o dziwo, decyduje się skorzystać z niespodziewanego zaproszenia. Zostawia gazetę na trotuarze i w następnej chwili sadowi się obok niej – sprawczyni jego porannego zaskoczenia. Samochód rusza.

– Przepraszam – mówi ona.

– Słucham?

– Chyba pana wystraszyłam tym klaksonem. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Ta gazeta i tak nie była ciekawa.

To ją rozbawia: śmieje się.

Patrzy na nią. Zastanawia się, skąd ją zna i nie może sobie przypomnieć. *Może z pracy?* – myśli. – *Tak, na pewno. Tam tyle ludzi codziennie się przewija, że nie sposób zapamiętać choćby dziesiątą ich część. Tym bardziej że, tak po prawdzie, to wcale nie należysz do jakoś szczególnie olśniewających swoją urodą. Ot, jeszcze jedna przeciętna dziewczyna. Tysiące takich – mogłem cię nie zauważyć! Zresztą, to ty pierwsza mnie zaczepiłaś, a to znaczy, że lepiej mnie kojarzysz.*

Czuje jego badawczy wzrok na sobie. Nie, nie to, że tego nie lubi czy jej to w jakiś szczególny sposób przeszkadza, niemniej nie chce tego, czuje się w jakiś niewytłumaczalny sposób skrępowana. Pyta więc:

– Gdzie chce pan wysiąść?

*A jednak nie z pracy* – konstatuje w myślach. – *Więc skąd?* – zastanawia się, a mówi:

– Pracuję w Urzędzie Miejskim.

– W takim razie zatrzymam się na IX Wieków.

– Świetnie.

Jakiś czas jadą w milczeniu.

– Niech pan tak intensywnie nie myśli – nagle w ciszę wkradają się jej słowa.

– Proszę?

– Może pan przecież zapytać, po co się tak męczyć.

– Nie rozumiem…

– Naturalnie. Na dodatek udaje pan jeszcze zaskoczonego. – Obrzuca go krótkim spojrzeniem. – Więc kim jestem, czy skąd pana znam?

On nie odpowiada, więc ona ciągnie dalej.

– Zresztą, obie te rzeczy się łączą: jesteśmy sąsiadami.

Nadal nie reaguje.

– Mieszkam w tym samym bloku. Tyle że ja dwa piętra wyżej – na czwartym.

– Czwartym – powtarza, i nie wiadomo, czy nie ma nic do powiedzenia, czy też jest jakoś szczególnie rozczarowany. Po chwili jednak dodaje: – Pani twarz wydała mi się znajoma. Przez chwilę myślałem nawet, że może z

pracy, ale… – Zawiesza na moment głos, a po chwili dodaje jakby olśniony nagłą myślą: – Więc jesteśmy sąsiadami!

– Tak. Od przeszło półtora roku.

– Półtora roku!? – Patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Tyle tutaj mieszkam. To mieszkanie zakładowe.

– Ach tak – wydusza z siebie z zakłopotaniem i milknie. Myśli: *Półtora roku, a ja mówię, że twarz jakby znajoma. Musiałem chyba zgłupieć! Pewnie ma mnie za ciężkiego durnia. I słusznie, ma rację – jestem dureń! Lepiej by było w ogóle się nie odzywać, niż… Chociaż, z drugiej strony, to w końcu nie moja wina, że ona wygląda tak… Człowieku, co ty chcesz od jej wyglądu? Nie jest w twoim typie – w porządku, ale nie szukaj dla siebie teraz na siłę usprawiedliwienia! Nawet nie potrafisz przyznać się przed samym sobą, że dałeś plamę. Nie, to znaczy tak – popełniłem gafę, to prawda, ale ona przecież nie należy do kobiet, które od razu wpadają w oko i człowiek dla takiej z miejsca głupieje. Oczywiście, jest zadbana, elegancka, powiedziałbym nawet intrygująca, ale żeby od razu…*

Samochód zatrzymuje się.

– Dojechaliśmy – mówi ona.

– Jestem pani dłużnikiem – mówi on, następnie otwiera drzwi i gramoli się na zewnątrz. I nagle, nie wie dlaczego, jakby coś wewnątrz przymusiło go do tego, mówi: – Mam nadzieję, że będę się mógł kiedyś zrewanżować.

– Niech pan nie mówi takich rzeczy, szczególnie kobiecie. To niebezpieczne, bo brzmi jak obietnica.

– Lubię ryzyko. Zawsze lubiłem. – Uśmiecha się. – Dziękuję za podwiezienie. I do zobaczenia!

Ona odwzajemnia uśmiech i w następnej chwili odjeżdża.

I tak to się zaczęło. W sposób zwykły, w dzień szary, dżdżysty. Jakiś pan, jakaś pani, jakieś okoliczności – i już jest historia, jedna z niezliczonych milionów wydarzających się każdego dnia tu i teraz, i gdziekolwiek indziej.

Kilka miesięcy później wiedzieli już oboje, że jeżeli dzieje się tak, iż jakiś mężczyzna przeznaczony jest jakiejś kobiecie – i vice versa, to oni właśnie byli tego niepisanego prawa najlepszym przykładem. Byli sobie pisani. Niejako dla siebie stworzeni i przeznaczeni!

xxx

Któregoś wieczoru u niej. Leżą w łóżku po kolejnym fantastycznym zbliżeniu i rozkoszują się błogim lenistwem.

– Jarek? – mówi ona.

– Słucham? – odpowiada on.

– Kocham cię.

On milczy.

– Co, czemu nic nie mówisz?

– A co tutaj dodawać. Dobry wybór. Masz fart.

– Chyba cię zabiję! – Rzuca się na niego i oplata dłońmi jego szyję. – Albo nie, jeszcze nie.

– Jeszcze?

– Najpierw urodzę ci dziecko.

Patrzy jej w oczy.

– Mówisz poważnie?

Kiwa potakująco głową.

– Przemyślałam to.

– Naprawdę chcesz tego?

– Nie mówiłabym, gdyby było inaczej. Zresztą, mam już swoje lata. Na co dłużej czekać?

– Wiesz… – zaczął niepewnie, ale zanim cokolwiek dodał, gwałtownie mu przerwała.

– O co ci chodzi? – Wiedziała, co chciał powiedzieć, więc tym bardziej była zdeterminowana. Musiała zareagować i rozwiać jego wszelkie wątpliwości i wahania. – Chcę mieć po prostu dziecko. Z tobą. To wszystko. Reszta się nie liczy.

Jarek podchodzi do okna. Po chwili zauważa spadającą gwiazdę, która leci na łeb na szyję w dół. Myśli: *Widzę cię, a jednocześnie wiem, że tam cię nie ma – już nie ma. Byłaś. Kiedyś. Dzisiaj… dzisiaj jestem ja, jest ona... Jestem? Naprawdę? No, na pewno bardziej niż ty. Bo ciebie już tam nie ma, a ja… Tak, Agnieszka ma rację. Powinienem – powinniśmy coś pozostawić po sobie, coś, co przetrwa, a nie tak jak ta gwiazda…* Mówi:

– Dobrze, kochanie.

W następnej chwili już przy nim jest. Stoi posągowo naga, wtulona w jego ciało. Jest szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa! A szczęściem tym jest dokonanie się powołania – nie tylko jej powołania, ale w ogóle każdej kobiety. Choć w tym konkretnym przypadku właśnie jej.

– Tylko nie myśl, że chcę cię w ten sposób zatrzymać, jakoś usidlić. Nie w tym rzecz.

– Nie musisz tego mówić. Wiem o tym.

– Więc wierzysz mi.

– Czy myślisz, że zgodziłbym się, gdybym tego nie chciał? Również tego pragnę. – Całuje ją w głowę. – Dobrze mi z tobą – mówi. – Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo.

– Ja ciebie też kocham. – Patrzy na niego i uśmiecha się. – Bardzo a bardzo. – Wtula się w niego jeszcze mocniej, a on jeszcze silniej przytula ją do siebie. I zastygają tak, nieruchomo, dając sobie nawzajem ciepło i bezpieczeństwo.

xxx

Jakieś dwa lata później następuje dziwna scena, dziwna, bo całkiem niespodziewana.

– Myślę, kochanie, że powinnaś się chyba zbadać? To trwa już…

– Powiedziałeś, że ja powinnam…

– Och, nie zaczynaj znowu. To przecież normalne że…

– Oczywiście, jak najbardziej normalne! Ale dlaczego myślisz jedynie o mnie, a siebie z tego wykluczasz? Uważasz, że z tobą, naturalnie, jest jak najbardziej wszystko w porządku, tak? Tylko chciałabym ci przypomnieć, że to nie w mojej rodzinie zdarzało się, że jej członkowie nie mogli…

– Za to twoja jest doskonała!

– Sam zacząłeś. Ja tylko chciałam…

– Dobrze wiem, co chciałaś. Myślisz, że nie widzę tych wszystkich złośliwych uśmieszków, ironicznych spojrzeń twojej rodzinki? Że nie słyszę tych komentarzy…

– Jesteś przewrażliwiony. Przecież wiesz, że oni bardzo cię lubią. To naprawdę niesprawiedliwe, co mówisz.

– Jeszcze ich bronisz! Ale nic dziwnego: ty sama też nieraz dawałaś mi już do zrozumienia, że… że…

– Bzdury pleciesz! Jesteś zdenerwowany, dlatego tak mówisz. W ogóle całkiem niepotrzebna ta rozmowa.

Skończmy ją lepiej, bo powiemy niepotrzebnie o jedno słowo za dużo i możemy później tego żałować.

– Nie. Za dużo już tego się nazbierało. Teraz powiemy sobie wszystko, albo…

– Proszę cię, przestań.

– Nie uciszaj mnie! – Był zdeterminowany żeby wyrzucić z siebie wszystko to, co go w ostatnim czasie dręczyło. Wiedział, że pewnych spraw nie można przemilczać, dlatego też stanowczo dodał: – Wiem, co chcę powiedzieć i powiem to.

– Co się za nami dzieje, Jarek? Nigdy w ten sposób nie rozmawialiśmy ze sobą?

– I być może to był błąd.

– Nie mów tak…

– Właśnie że będę! I od dzisiaj będę się powtarzał. Aż do znudzenia! – Jego okrucieństwo było dogłębne i nie miało końca. Jakby postanowił, nie wiedzieć dlaczego, nagle ją upokorzyć, zniszczyć.

– Ale ja tego nie chcę słuchać – próbowała się bronić Agnieszka.

– Będę mówił. Będę! Bo to prawda.

– Nie. To twoja prawda.

– Nasza prawda!

– Nie, nie chcę! Nie chcę! – Agnieszka wyrzuca z siebie i nagle, niespodziewanie wybiega z pokoju.

– Aga!

Ale ona tego nie słyszy. Nie chce słyszeć! Zranił ją. A rana jest tym głębsza i boleśniejsza, bo pochodzi od osoby kochanej. Od kogoś, kto był jej uzupełnieniem, jej drugim alter ego – przynajmniej tak to odbierała. Do tej właśnie

chwili. A teraz… teraz nie wie już nic. Jej dotychczasowy świat runął. Nie istnieje! Podobnie zresztą jak i jego. Sam był zaskoczony swoim zachowaniem. Nie wiedział, jak to się mogło stać, jak mógł stracić do tego stopnia kontrolę nad sobą, nad tym, co mówi, że… że zaczął sprawiać ból tej, którą kocha. Która jest niejako jego duchowym lustrzanym odbiciem. Wiedział za to jedno: że będzie tego swojego zachowania żałował. Już żałował! I że już nic z pamięci tego nie wymaże, nie wyrzuci. Wiedział, że coś, co niezwykle trudno nazwać, jakby jakaś nić ponadzmysłowego porozumienia istniejąca dotąd między nimi, została nadszarpnięta. I to z jego przyczyny. Nadszarpnięta na zawsze.

W niedługi czas potem, gdy zdążył już na dobre ochłonąć, uświadomił sobie, że Agnieszki nadal nie ma. Wzburzona wybiegła z domu i dotąd nie wróciła. I mimo że nie myślał o niczym złym, to jednak zaczął się niepokoić. Dlatego najpierw zadzwonił do jej rodziny, następnie wspólnych znajomych – nigdzie jej nie było. Wtedy jego zdenerwowanie poczęło narastać z każdą następną chwilą. Szukał w pamięci punktów zaczepienia, gdzie mogłaby pójść, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. W końcu pod wieczór, gdy zamierzał raz jeszcze obdzwonić wszystkie znane mu adresy, rozległ się dzwonek telefonu. Po jego twarzy przebiegł promyk nadziei, który miał przynieść dawno oczekiwaną ulgę. Podniósł słuchawkę.

– Słucham – powiedział.

– Czy to pan Jarosław Salinas? – zapytał jakiś obcy kobiecy głos.

– Tak. Słucham.

– Dzwonię ze szpitala.

– Ze szpitala? Nie rozumiem…

– W telefonie pani Faber naleźliśmy numer do pana, gdyby coś się stało. Właśnie miała wypadek i…

– Nie rozumiem. Wypadek? Jaki wypadek? Gdzie?!

– Wypadek samochodowy. Została potrącona…

– Nie, to niemożliwe…

– Niestety, ale… – Głos w słuchawce brzmiał coraz bardziej natarczywie nieuchronnością komunikatu.

– Nie!

– Bardzo mi przykro, ale nie zdołaliśmy…

Nie słuchał dalej, nie chciał słyszeć, co ta nieznana mu kobieta miała do zakomunikowania. Miał wrażenie, że nie znajduje się w zamkniętym pomieszczeniu, a na karuzeli – cały pokój obracał mu się przed oczami. Zanim bezwiednie opadł na fotel w pamięci poczęły mu wirować, jak kadry niedokończonego filmu, sekwencje ostatnich chwili spędzonych z Agnieszką. To, co czuł w tej chwili, nie mogły, nie były w stanie wyrazić żadne słowa – były na to zbyt słabe, bez żadnej zawartości. Wiedział, że będzie żałował swojego postępowania, ale nie przypuszczał, że nastąpi to tak szybko i w tak bolesnych okolicznościach. Świadomość tego nie dawała mu spokoju. Jeszcze, co prawda, gdzieś tam głęboko, w podświadomości łudził się, że to nieprawda, że to pomyłka, jednak zwisająca obok stolika słuchawka nie była omamem, zjawą z koszmarnego snu – była okrutną rzeczywistością, a głos dochodzący z niej jedynie utwierdzał go w tym najdobitniej.

– …Bardzo mi przykro – głos dokończył, a następnie nastąpił suchy trzask i w słuchawce nastała cisza. Długa i złowróżbna. Jednak dla Jarka cisza ta była wielokroć gorsza od największego hałasu. Była nieludzkim wyciem! Wraz z tym telefonem nie tyle w nim coś umarło, co umarł on sam. Jej nagłe i niespodziewane odejście zabiło w nim wszelką motywację do życia. Tym bardziej, że czuł się winny tej śmierci. Życie dla niego, wraz z jej odejściem, straciło nie tylko swój blask, ale w ogóle jakikolwiek sens.

Dwa czy trzy dni później, już po sekcji zwłok, w skrzynce na listy czekała na niego wiadomość, że Anna była w siódmym tygodniu ciąży! Ale on o tym już się nie dowiedział. Wiadomość została na drodze, którą on był już opuścił. Wędrował do niej. Na odłożone w czasie spotkanie.